

Rok IX. Styczeń 1906 r. Nr. 1.

Organ Towarzystwa

Powściągliwość i Praca

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC.

Prenumerata roczna wynosi:

W Austro-Węgrzech .	1 kor. 20 h.	W Ameryce	1/2 dolara.
W Niemczech . . .	1 mrk. 40 fen.	W innych krajach . . .	2 franki.

Dla Członków Towarzystwa „Powściągliwość i Praca" za darmo.

Wszelkie przesyłki i listy pieniężne prosimy adresować:
Ks. BRONISŁAW MARKIEWICZ
p. Miejsce Piastowe (Austrya, Galicya).

Rozwiązanie kwestyi socyalnej najprostszym sposobem.

Ksiądz Edmund Hager, kapłan z klasztoru Benedyktynów w Salcburgu, urodzony r. 1829 w Strasswalchen założył przed laty dwudziestu Stowarzyszenie pod tytułem „Przyjaciel dzieci" (Kinderfreud) celem wychowania dzieci ubogich i opuszczonych. Obecnie pod jego kierunkiem znajduje się 7. kapłanów Benedyktyńskich przez niego wychowanych, 14 kleryków, 13 kleryków nowicyuszów, 41 braci laików, 15 braci nowicyuszów, 10 oblatów i 26 kandydatów. W 4. domach w Tyrolu: w Insbrucku, w Volders, w Martinsbühel i w Mieming wychowuje przeszło 300 chłopców ubogich, ucząc ich różnych rzemiosł i uprawy roli. Nadto pod jego zarządem wychowują siostry Benedyktynki w Scharnik 18 dziewczynek w internacie i prowadzą szkołę ludową dziewcząt tamże. W zakładach tych używany jest przeważnie wikt roślinny. Oprócz tego tenże kapłan zakonnik wydaje w Insbrucku znakomity miesięcznik pod tytułem „Kinderfreund" w 20.000 egz. — W ostatnim zeszycie tegoż pisma twierdzi, że rozwiązanie kwestyi socyalnej nastąpi, gdy uboga warstwa ludu zacznie żyć pracowicie i oszczędnie, przedewszystkiem gdy będzie pamiętała na zasady następujące:

1) „W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba, aż się wrócisz do ziemi, z którejeś wzięty".— „Jeśli kto nie chce robić, niech też nie je".

2) Ubodzy powinni zadawalniać się tem, co jest im do utrzymania życia niezbędnem, a nie pragnąć rzeczy, które im nie są koniecznie potrzebne stosownie do orzeczenia św. Apostoła: „Jeśli mamy co jeść i czem się okryć, bądźmy z tego zadowoleni". A zatem wtedy odpadną u nich wydatki na tytoń, na upajające napoje: piwo, wino, miód, wódkę i na kawę, to jest na rzeczy, które według zdania wielkiej liczby lekarzy rujnują nerwy i zdrowie. A nawet co do wyboru i miary potraw ubodzy ludzie powinni pilną uwagę zwracać. Przy przyjmowaniu bowiem potraw i napojów powinni przedewszystkiem starać się o to, aby żyć, zdrowie zachować i zyskać siłę duszy i ciała potrzebną do spełniania obowiązków swoich.

Smakosze zaś wybredni, goniący za dogadzaniem podniebieniu, rzadko zadowalniają się pokarmem roślinnym i czystą wodą, ale chcieliby mięsiwa i napojów sztucznych.

Na dowód powyższego twierdzenia opowiada sędziwy przeor Benedyktynów okoliczności z własnego doświadczenia w ten sposób: „Pochodzę z ubogiej rodziny, która się składała z czterech osób. Mój ojciec był krawcem. Zarabiał tygodniowo 3 korony i 60 hal. Oprócz tego otrzymywał jeszcze od ludzi w dodatku do roboty uskutecznionej czasami nieco wiktuałów. Ponieważ z tych dochodów potrzeba było oprócz wydatków na jedzenie jeszcze się przyodziać, możecie sobie wystawić, jak mocno należało oszczędzać, aby się końce ze sobą zeszły. I żyliśmy w ten sposób na wsi: rano i wieczorem jedliśmy zupę, w południe zaś jedną potrawę mączną albo mleczną. I z tego byliśmy zadowoleni. I taki sposób życia prowadzono i w innych domach sąsiednich, kędy

mieszkali ludzie zatrudnieni na roli albo w warsztacie; kawy jeszcze nie było, ani piwa ani wina nikt przez cały rok nie pił.

A gdy potem rodzice przenieśli się do miasta Salcburga, aby mogli tam łatwiej dwóch synów swoich wykształcić, żyliśmy w ten sam sposób, jak na wsi. I dzisiaj widzę jasno, że to ubóstwo było dobrem; kto wie, coby się inaczej z tych dwóch studentów stało, albowiem niektórzy z naszych kolegów, którym się dobrze działo, poszli na manowce! O jakże należy Opatrzności Boskiej dziękować, że raczyła nas prowadzić tą samą drogą ubóstwa, którą szedł na tej ziemi sam Syn Boży.

Czyż młodość w ubóstwie spędzona nie była szkołą przygotowawczą do mojego zawodu teraźniejszego? Tak jest rzeczywiście. Albowiem czego się samemu nie doświadczyło, tego potem trudno drugich nauczać. Dzisiaj na świecie wszystkie stany chorują głównie na chęć używania, nawet u ludzi ubogich choroba ta grasuje powszechnie. Nieraz młodzieniec przyszedłszy do naszego zakładu, po paru dniach odchodzi z powodu wiktu rzekomo złego. Tymczasem w domach naszych mimo pokarmu skromnego jesteśmy zdrowi, zadowoleni i szczęśliwi. Dotąd mówi ks. Edmund Hager. A teraz ja powiem nieco:

Przed paru miesiącami nauczając w kościele parafialnym z ambony o cnocie przestawania na małem, przytoczyłem moim parafianom przykład, jako pewien zamożny człowiek razu jednego wywnętrzał się przedemną, iż gdyby zubożał do tego stopnia, iżby musiał jadać na obiad tylko kapustę lub ziemniaki, toby sobie życie odebrał. — Na to całe zebranie włościan które zwyczajnie zachowuje się bardzo poważnie w kościele, głośnym śmiechem wybuchło — wypadek jedyny podczas 14-letniego mojego pobytu w Miejscu Piastowem. Co ten objaw oznacza? — Iż ogół mieszkańców żyje bardzo skromnie, przeważnie czarnym chlebem, ziemniakami i kapustą, na które pokarmy w pocie czoła pracuje, modląc się gorąco od kwietnia do listopada o ich udanie się; czuje się mimo to szczęśliwym i nie pragnie zmiany na lepsze pod tym względem. A mogliby ci ludzie żywić się wybredniej, ponieważ mają środki po temu, bo oto ta sama wioseczka o liczbie 1000 mieszkańców wybudowała z własnych funduszów w przeciągu lat 20 piękny murowany kościół, wymurowała okazałą plebanię, kupiła 2 domy na rzecz gminy, utrzymuje szkołę o dwóch nauczycielach, niema żebraka ani innowiercy pomiędzy sobą i w znacznej części przyczynia się do utrzymania tutejszych zakładów dzieci opuszczonych, wymurowała kilka domów prywatnych i pokryła je blachą lub dachówką, a kilku gospodarzy tutejszych posyła swoich synów do szkół gimnazyalnych do miasta. — A zatem i zakłady propagujące pracę i powściągliwość przyczyniają się w walnej części do rozwiązania kwestyi socyalnej. *Ks. B. M.*

Historya Zakładu wychowawczego w Miejscu Piastowem.

Ponieważ wielu bardzo czytelników naszego pisma i członków, jakoteż dobrodziejów Towarzystwa Powściągliwości i Pracy nie zna początków tego Towarzystwa, uważamy za rzecz z wielu względów konieczną podać do publicznej wiadomości w kilku rysach wiadomość o zawiązku naszych zakładów, między innemi na to, aby wiedział ogół na co i do czyich rąk składa ofiary i aby poznał główne zasady naszego wychowania i cele, do których dążymy.

Ksiądz Bronisław Markiewicz, wielki przyjaciel ubogich, w r. 1885, kiedy to był profesorem teologii w seminaryum przemyskiem, uczuł, iż Bóg go wzywa, aby się poświęcił wychowaniu ubogiej młodzieży. Spowiednik jego, ks. Ł. radził mu wstąpić do Zgromadzenia księdza Bosco, co też niezwłocznie uczynił, łamiąc wiele przeszkód stojących na zawadzie. Ksiądz Bosco przyjął go 1. stycznia 1886 r. do nowicyatu w San Benigno Canavese. Tu, ksiądz Markiewicz, przeczytawszy regułę tego wielkiego męża Bożego, na wskróś wychowawczą, ogromnie się ucieszył, bo znalazł w niej wszystko to właśnie, o czem oddawna marzył, zwłaszcza, że przed 18. już laty obrał sobie św. Franciszka Salezego za gwiazdę przewodnią w życiu kapłańskiem, a najwięcej radości sprawił mu wykład jej przez samego księdza Bosco, mianowicie, że Salezyanie, wychowując opuszczoną młodzież w pracy i powściągliwości, powinni się przedewszystkiem żywić na wzór włościan tej okolicy, w której mieszkają. Do tego stopnia przejął się temi zasadami księdza Bosco, iż od tego czasu na czele każdego listu, pisanego do braci zakonnych, umieszczał hasło: „Praca i Powściągliwość“.

Dnia 25. marca 1887 r. złożył śluby zakonne w ręce księdza Bosco. W rok po jego śmierci, która nastąpiła w 1888 r, zapadł tak ciężko na piersiową chorobę, iż w r. 1890 słyszał na własne uszy, jak lekarz mówił, iż najdalej za miesiąc musi się pożegnać z tym światem. Nie mając nic wówczas do stracenia, odrzucił wszelką pomoc lekarską i sam się wziął do leczenia i to tak skutecznie, iż powoli zaczęły mu siły powracać. Widząc to przełożeni, radzili, aby udał się z powrotem w swe rodzinne strony, prawie zaś równocześnie, otrzymał od swego przyjaciela ks. Rektora Spisa zapytanie, czyby nie przyjął małego probostwa w przemyskiej dyecezyi we wsi „Miejsce“. Skoro nadto pan Jan Trzecieski, kollator wspomnianego beneficium poprosił o to przełożonych, chętnie

przychylili się do jego życzenia i w kilka miesięcy potem, przy końcu marca 1892 roku po otrzymaniu od pana Trzecieskiego 200 florenów na podróż, przybył ksiądz Markiewicz na swą plebanię, gdzie był zmuszony natychmiast pożyczyć 2000 koron, aby kupić potrzebny inwentarz i sprawić sobie najniezbędniejsze rzeczy do życia, gdyż w plebanii zastał tylko gołe ściany, a ze sobą, jak na dobrego zakonnika przystało, przywiózł tylko to, co miał na sobie. Nie traci jednak odwagi, nie zważa na swe nadzwyczajnie wątłe siły, na późny wiek, ale z niezmordowaną energią zabiera się do tego, o czem tak dawno już marzył, t. j. do wychowywania młodzieży ubogiej.

Przy końcu kwietnia, t. j. w parę zaledwie tygodni po przybyciu, przyjmuje na wychowanie sierotę Jędrusia.

A jakie to były początki, to może świadczyć fakt, iż całe posłanie wychowawcy i wychowanka składało się z dwóch sienników położonych na podłodze i z 4 prześcieradeł.

Z każdym miesiącem następnie wzrasta liczba ubogich chłopców przez niego wychowywanych tak, iż na zimę tegoż roku ma już ich na plebanii 18. Cała ta gromadka, nie wyłączając wychowawcy wraz z nią mieszkającego, żywiła się na wzór włościan swej parafii. Do lata 1893 r. wzrosła liczba wychowanków do 25. Dozór nad tą Bożą czeladką miał 30-letni piekarz, Franciszek Olszewski, pochodzący z Prus zachodnich, który poznał księdza Markiewicza jeszcze we Włoszech i wstąpił do Miejsca po drodze, powracając z Ziemi świętej.

Po nim dopiero objął rządy nad chłopcami, przybyły z Turynu, kleryk salezyański Piotr Sikora, w najdrobniejszych szczegółach stosując się do życia zaprowadzonego w Zakładzie przez założyciela, głośno wszakże utyskując od początku do końca na to, iż Miejsce Piastowe nie jest odpowiedniem na Zakład salezyański.

W r. 1894 przybyło do Miejsca jeszcze dwóch kleryków Salezyańskich, którzy przywieźli ze sobą świeżo wydrukowane w Turynie, a bardzo wygodne uchwały Kapituł Salezyańskich, razem z pierwotną regułą jedną całość stanowiące i stanowczo domagali się takiego pożywienia, jakie przepisało dla Zgromadzenia ostatnie Zebranie generalne Salezyanów, czyli:

„Kawy z mlekiem na śniadanie; na obiad dwóch potraw i owoców lub sera; a tak na obiad, jak i wieczerzę oprócz tego, chleba i zupy do woli“, czyli cztrech dań na obiad, a trzech na wieczerzę, „a nadto do obiadu i wieczerzy wina w mierze umiarkowanej“.[1]) Gdy zaś nadeszły święta Zgromadzenia, podsuwając pod oczy odpowiednie miejsca w nowej regule obowiązującej, żądali natarczywie wypełnienia następującej uchwały Zebrania generalnego: „w święto Niepokalanego Poczęcia, Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zielonych świątek, św. Franciszka Salezego, św. Alojzego Gonzagi, Maryi Wspomożenia Wiernych, św. Patrona Zakładu, w ostatni dzień rekollekcyi wspólnych, w ostatni dzień karnawału i w dzień imienin dyrektora.... ma być piąte danie dla wszystkich“.[2]) Gdy tego nie otrzymali, po kilku miesiącach wrócili do swoich. W r. 1896 jeszcze jeden kleryk Salezyański przybył do nas, lecz i dla tego za trudnem było nasze życie i po ośmiu miesiącach powrócił do Włoch. Ks. Piotr Sikora trzymał się najdłużej. Przez cały jednakże czas. od samego początku, nauczanie rzemiosł i przedmiotów szkolnych było prawie wyłącznie prowadzone przez dorosłą młodzież, która przybyła z pod trzech zaborów Polski. Najbardziej wówczas i później dopomagał w wychowywaniu ks. Markiewiczowi Stanisław Orlemba, były nauczyciel z warszawskiej gubernii. Obecnie jest on już od paru lat księdzem i silnie trwa przy idei ks. Rektora Markiewicza, choć mieszka w Dalmacyi.

Liczba chłopców ubogich i opuszczonych rosła z każdym rokiem coraz bardziej. W r. 1897 zbliżyła się do sześćdziesięciu. Mieszkali oni na strychu starej plebanii i w kilku wynajętych na wsi chatach.

Wreszcie po długich prośbach ze strony księdza Markiewicza zdecydowali się przełożeni Salezyańscy z Turynu przysłać na wizytacyę Zakładu księdza Mojżesza Verones'ego, dyrektora kollegium w Magliano Veneto, po otrzymaniu wszakże z Zakładu naszego pieniędzy na bilet jazdy w obie strony. Ten, po nadzwyczaj serdecznem przyjęciu, jakiego doznał od całego zakładu, uznał, że Miejsce Piastowe... wcale się nie nadaje na Zakład salezyański, już wskutek swojego położenia i konsekwentnie postanowił w porozumieniu z generalnym Przełożonym.... zabrać z sobą do Włoch najzdolniejszą młodzież uczącą się, a rzemieślników i rolników przesiedlić do Zakładu włoskiego w Gorycyi, pozostawić zaś tylko 24 chłopców do obrabiania plebanii. Jednak mimo to, przyznał sam, iż

---

[1]) Deliberazioni. S. Benigno Canavese 1894 — strona 242: „I confratelli avranno a colazione caffe e latte; a pranzo due pietanze e frutta o caccio; a cena, pietanza e frutta o caccio; in amendne i pasti vino in misura discreta, pane e minestra a piacimento“.

[2]) Strona 250: „Nelle sollennita del' Immacolata Concezione, di Natale, Pasqua, Pentecoste, di S. Francesco di Sales, di San Luigi Gonzaga, di Maria Ausiliatrice, del Patrono di ciascuna Casa, nell' ultimo giorno degli Esercizi Spirituali, nell' ultimo giorno di carnavale e nel giorno onomastico..... si aggiungerá per tutti una pietanza al vitto ordinario“.

wszystka młodzież w Miejscu mu się podoba, ale zaraz dodał: „Łatwo księdzu tak świetne wyniki otrzymywać, bo jego wychowankowie nic nie płacą“! Nakazał przytem w imię posłuszeństwa, aby pożywienie było zaprowadzone podług przytoczonych powyżej uchwał ostatniej kapituły Salezyańskiej, w jednem tylko czyniąc ustępstwo, w tem mianowicie, że raczył pozwolić zamiast wina używać codziennie piwa. I przy pożegnaniu bardzo otwarcie powiedział Wizytator księdzu Markiewiczowi: — „żyjecie, jak Trapiści“.

Na to ksiądz Markiewicz: — „żyjemy, jak ksiądz Bosco“.

Wizytator: — „Ksiądz Bosco nie był zakonnikiem“.

— „Przecież was założył? a wy, jak żyjecie?“

— „My żyjemy, jak Salezyanie“. Na to odpowiedział ks. Markiewicz:

— „Żyjcie jak Salezyanie, a ja żyć będę, jak ks. Bosco“.

W miesiąc po wyjeździe ostatnich dwóch Salezyanów i najdzielniejszych, a zarazem najlepszych młodzieńców uczących się do Włoch, gdy ksiądz Markiewicz pozostał sam z drobniejszą młodzieżą i z kilku rzemieślnikami, otrzymał pismo od księdza Juliusza Barberis'a, piszącego między innemi w imieniu Kapituły generalnej: „Myśmy nigdy księdzu nie pozwolili na założenie zakładu!“

Teraz mógł już ksiądz Markiewicz żyć swobodnie społem z pozostałą młodzieżą, żywiac się pokarmami roślinnymi na wzór swoich włościan. Udał się wówczas do swego spowiednika, jeszcze od lat młodości, który go wysłał był do księdza Bosco, i ten po rozważeniu wszystkich okoliczności, dał radę, aby dalej trwać w przedsięwzięciu. Wkrótce nadto Opatrzność Boska przysłała mu do Miejsca Piastowego ś. p. księdza Henryka Jackowskiego, który sprawę sumiennie zbadawszy, orzekł stanowczo, iż ksiądz Markiewicz natychmiast powinien zbudować zakład na polu darowanem przez p. Jana Trzecieskiego, otworzyć osobne zgromadzenie i donieść o tem swojemu Biskupowi Ordynaryuszowi i św. Kongregacyi Biskupów i Zakonników, co też ksiądz Markiewicz zaraz zrobił.

Św. Kongregacya nietylko, że przyjęła doniesienie do wiadomości, ale owszem wyznaczyła Towarzystwu Powściągliwości i Pracy osobnego prokuratora czyli zastępcę w Rzymie. Ks. Biskup Solecki zaś w swem piśmie z d. 9. lutego 1898 r., pozwolił nadal rozwijać się Zakładowi w rozpoczętym kierunku pierwotnym, nazywając nadto tę nową odrośl Salezyańską „Salezyanami strictioris observantiae“. Między innemi tak pisze: „Załatwiając prośbę z 22. stycznia b. r. pozwalamy najchętniej Wielebności Twej na udzielanie przytułku młodzieży ubogiej i wychowaniu jej według wskazówek świątobliwego ks. Jana Bosco po Bożemu „w karności i grozie Pańskiej“. —

„Poświęcenie się Wielebności Twej temu wzniosłemu zadaniu, bardzo pochwalamy... Niechaj więc Wielebność Twoja stara się w Rzymie usilnie o aprobatę... — popierać... szlachetne i zbawienne usiłowania Wielebności Twej jak najusilniej tak w Rzymie, jako też u Władz świeckich gotowiśmy, — ilekroć się do Nas o to udawać będziesz.

Równocześnie odpowiadamy na list Przew. ks. Jenerała Salezyanów z 19. grudnia 1897. — A jako zadatek osobliwszej opieki i pomocy z Niebios do szczęśliwego dokonania zamierzonego ku chwale Bożej i zbawieniu dusz doniosłego dzieła, udzielamy najmiłościwiej Wielebności Twej i wszyskim wychowankom Twoim Arcypasterskie Nasze Błogosławieństwo“. Mimo to ksiądz Markiewicz i jego towarzysze nie nazywają się Salezyanami, ale wnieśli do Stolicy Apostolskiej i do księdza Biskupa przemyskiego prośbę, aby pozwolono im kiedyś, jak tylko otrzymają najwyższe zatwierdzenie kościelne, nazywać się „Zgromadzeniem św. Michała Archanioła“.

W roku 1897, późną jesienią, po odłączeniu się już od Salezyanów zbudował ksiądz Markiewicz łącznie ze swymi wychowankami zakład drewniany z kamiennemi suterynami, wartości 16.000 koron i tegoż jeszcze roku umieścił w nim całą swoją drużynę, która dotychczas mieściła się po chatach na wsi, a w roku 1898 zbudował ze składek na polu kupionem od pana Jana Trzecieskiego dom murowany dwupiątrowy o 100 oknach, wartości 120.000 kor., do którego wprowadził 200 chłopców.

Dalsze dzieje naszych zakładów są już znane.

Stefan Konrad Prószyński.

NASZE GWIAZDY PRZEWODNIE.

Św. Jan Chryzostom.

Św. Jan Chryzostom urodził się w Antyochii z rodziców zamożnych w roku 347. Ojciec jego imieniem Sekundus był dowódzcą wojsk cesarskich w Syryi. Matka zaś jego imieniem Anthusa była wysoce wykształconą i świątobliwą niewiastą. Ojciec odumarł Jana w jego niemowlęctwie. Świątobliwa Anthusa przy śmierci męża liczyła dopiero lat 20, a jednak aby się wychowaniu syna poświęcić zupełnie, nie wstąpiła już powtórnie w stan małżeński. Nie żałowała ani trudów ani nakładów żadnych, aby dziecko swoje wychować i wykształcić jak najdoskonalej. A Jan od pierwszych chwil rozeznania rozumu skoro poznał prawdę, sprawiedliwość i obowiązki, przejmo-

wał się nimi i przystosowywał je jak najwierniej do siebie nawet w rzeczach najdrobniejszych. Już w towarzystwie rówieśników swoich okazywał się poważnym i małomownym. Wymowy uczył go znakomity mowca Libaniusz poganin, a filozofii Angragacyusz. Również uczył się sztuki dramatycznej. Wkrótce Jan w naukach tak postąpił, iż nie licząc lat 20, a już występował wobec sądu z mowami obrończemi, które podobały się powszechnie. I wówczas poznał się ze św. Bazylim, który był w równych latach z nim, a jednak więcej uduchownionym. Bazyli tedy zaprzyjaźniwszy się z Janem, wpłynął na niego, aby porzucił wymowę świecką i sądy, a oddał się więcej czytaniu Pisma świętego i praktykom życia duchownego. W Antyochii był wówczas biskupem świątobliwy Melecyusz. Ten poznawszy Jana, zaczął go zapraszać do siebie i z przyjemnością z nim często rozprawiał, wreszcie po trzechletniem z nim obcowaniu udzielił mu chrztu świętego, a potem niebawem uczynił go lektorem, t. j. udzielił mniejszego święcenia. Jan mieszkał razem z matką a społem ze św. Bazylim zagłębiał się w tajniki mądrości chrześcijańskiej, często pościł, czuwał, sypiał na ziemi, ćwiczył się w milczeniu i unikał obcowania z ludźmi świeckimi; jednak dwóch towarzyszy ze szkoły mowcy Libaniusza: Teodora i Maksyma skłonił do zarzucenia spraw światowych i obron w sądzie a zaś do zajmowania się jedynie duchownemi sprawami. Jego przyjaciel Teodor został później biskupem w Cylicyi w Mopsuestyi a zaś przyjaciel Maksym w Seleucyi w Izauryi. We czwórkę tedy schodzili się społem u Jana, rozprawiając ze sobą głównie o rzeczach Bożych, o sprawach sumienia i o doskonałości chrześcijańskiej czyli prowadzili życie ukryte na ustroniu na wzór mnichów ówczesnych, których wtedy filozofami zwano. W roku zaś 374 gdy przyjaciel jego Bazyli został biskupem, zapragnął opuścić ukochaną matkę a przenieść się do namiotów mniszych rozstawionych na wzgórzach otaczających miasto Antyochię. Ci mnisi raniutko wstawszy odprawiali najpierw wspólne pacierze, potem śpiewali psalmy a potem w milczeniu pracowali: jedni uprawiali rolę, drudzy nosili wodę, inni rąbali drwa, a znowu inni zajmowali się pracą w warsztatach, a wreszcie inni pisali i odpisywali księgi. Wśród dnia pewien czas poświęcali na czytanie Pisma świętego. Ich pożywieniem zwyczajnem był chleb ze solą. Tylko starcy i chorzy jedli warzywa. A woda jedynie służyła im za napój. Ten posiłek przyjmowali zwyczajnie wieczorem, poczem rozmawiali ze sobą nieco o rzeczach duchownych a zmówiwszy społem modlitwy wieczorne szli na niedługi spoczynek. Ubranie ich składało się ze sukna ze sierści wielbłądziej lub koziej albo też ze skóry. Z pracy rąk zarabiali ci mnisi nietylko na własne utrzymanie, ale jeszcze z tego co im zbywało, dawali wsparcia ubogim i gościnnie przyjmowali u siebie osoby świeckie do nich przychodzące, którym nietylko dawali pokarm dla duszy w rozmowach budujących, ale także i obfity pokarm dla ciała.

Owóż do tych mnichów wstąpił Jan, pożegnawszy rzewnie płaczącą matkę ukochaną. I tam strawił lat cztery. U nich napisał sławne dzieło „o kapłaństwie“, „o skrusze serca“, „uwagi dla przeciwników życia mniszego“ i t. p.

Po czterech latach życia mniszego schronił się do pewnej jaskini będącej na miejscu odludnem, gdzie dwa lata przepędził, umartwiając ciało swoje i ćwicząc się w miłości Boga. I byłby tam może jeszcze dłużej trwał, lecz zachorowawszy musiał powrócić w r. 380 do miasta, gdzie biskup Melecyusz wyświęcił go na dyakona. Lecz mało z domu się wychylał dla zbyt osłabionego zdrowia, ale modlił się tylko i pisał dzieła uczone i budujące. Dopiero gdy w roku 386 przyszedł nieco do zdrowia, wyświęcony jest przed postem wielkim na kapłana przez Flawiana biskupa i przeznaczony na kaznodzieję. I wówczas pisał i mawiał sławne homilie, które w kilkunastu tomach zawarte budują podziśdzień Kościół Boży. Wymowa złotousta zrobiła Janowi na całym Wschodzie wielki rozgłos. Stąd gdy biskup Nektaryusz w Konstantynopolu umarł roku 397 dnia 17. września, wtedy minister domu cesarskiego Eutropiusz umyślnie przyjechał do Antyochii, by zbadać, czy Jan nadaje się na tak wysokie stanowisko w stolicy państwa. A gdy Chryzostom mu się wielce podobał, powróciwszy na dwór wpłynął na cesarza, aby polecił wielkorządzcy Antyocheńskiemu, iżby dla uniknienia rozruchów potajemnie uprowadził Jana. I tak się stało. Wielkorządca zaprosił Jana do kaplicy męczenników położonej poza Antyochią. A gdy ten tam przybył, gwałtem wsadzony jest do powozu rządowego i uwieziony do Konstantynopola, gdzie biskup Aleksandryjski Teofil, przeciwnik Chryzostoma przyniewolony przez Eutropiusza konsekrował go na biskupa konstantynopolitańskiego w marcu r. 398. Jeszcze przed konsekracyą swoją rozpoczął Chryzostom prawić kazania dzielnie przeciw tamtejszym heretykom i przeciw grzechom rozwielmożnionym w stolicy, a po konsekracyi czynił tożsamo jeszcze z większą siłą. Zniósł niepotrzebne wydatki stołu biskupiego a pieniądze zaoszczędzone, kazał zanieść do szpitali, powiększył liczbę tychże, ustanowił w nich lekarzy i kucharzy. Wzywał w kazaniach ludzi możnych aby się z bogactwa swego nie wynosili i aby wspierali cząstką dochodów swoich ludzi ubogich.

W roku 400 wnieśli niektórzy biskupi z Azyi skargę do Jana Chryzostoma na Antonina biskupa z Efezu i jego sąsiadów jakoby frymarczyli urzędami

duchownymi. Jan mimo, iż czuł się chorym i mimo zimy zostawiwszy w stolicy biskupa Seweryana w zastępstwie, wybrał się w podróż do Efezu i do przyległych stolic biskupich. Gdy przybył do Apamey, wyszli naprzeciw niemu trzej biskupi, z którymi udał się piechotą do Efezu. Tam zebrało się 70 biskupów z Lydii, Karyi i Azyi na synod, na którym Chryzostom złożył z urzędu trzynastu biskupów za różne występki. Powróciwszy z wizyty pasterskiej w 100 dni po wyjeździe, znalazł stolicę przeciwnie ku sobie usposobioną wskutek wichrzeń niesumiennego Seweryana, biskupa Gabali. Ten w porozumieniu z cesarzową Eudoksią, która czuła się obrażoną wskutek skarceń niektórych grzechów kobiet ówczesnych przez Chryzostoma i połączywszy się z przeciwnym Janowi biskupem aleksandryjskim Teofilem i kapłanami złymi w Konstantynopolu spowodował zebranie się synodu biskupów pod Chalcedonem celem złożenia z urzędu Jana. Oskarżyciele zarzucili św. Janowi Chryzostomowi około 30 win, prawie przeciw wszystkim przykazaniom Bożym. Gdy Chryzostom wezwany przed sąd ów się nie stawił, został zaocznie odsądzony od godności biskupiej. A słaby cesarz Arkadyusz opierając się na tym niesprawiedliwym wyroku zarzucającym Chryzostomowi różne niepopełnione grzechy, rozkazał aby Jan się usunął. Święty biskup ustępując przemocy wyjechał do Bitynii. Lecz lud dowiedziawszy się o wygnaniu Chryzostoma, wszczął rozruchy, wtedy cesarzowa wpłynęła na cesarza Arkadyusza, aby przywołał do stolicy świętego pasterza. Lecz gdy Jan znowu strofowaniem grzechów wywołał gniew Eudoksyi, za jej sprawą zebrał się znowu w r. 404 synod biskupów jemu wrogich i złożył go z biskupstwa. A skoro Janowi oznajmiono, że już idzie oddział wojska, aby go gwałtem wyrzucić ze stolicy, wtedy tenże pożegnawszy się z przyjaciółmi wsiadł na okręt 9. czerwca 404 i udał się na miejsce wygnania do Kukusus. Papież Innocenty dowiedziawszy się o tem co zaszło, wstawiał się za Chryzostomem do cesarza Arkadyusza, lecz bez skutku; albowiem cesarz kazał wywieść św. Jana do Pityus leżącego na wschodniem wybrzeżu morza Czarnego. Jadąc na to miejsce, Chryzostom z wycieńczenia umarł w pobliżu Komany 14. września 407.

Potomność okazała się sprawiedliwszą dla Chryzostoma od współczesnych: ciało jego przeniesiono ze czcią do Konstantynopola. Kościół zaś uznał go świętym, a nadto Ojcem i doktorem Kościoła.

Wilia pod „Telegrafem".

Kamienica przy ul. Kanoniczej w Krakowie nosi popularną nazwę „pod Telegrafem". Dawniej mieścił się w niej urząd telegraficzny i stąd nazwa; dzisiaj jest tam urząd policyjny. Nad główną bramą emblemata kapitulne krakowskie świadczą, czyją własnością był ongi budynek i jakim służył celom. Dzisiaj służy innym. Do starego gmachu, jakby do fortecy, doprowadzają pod eskortą nędzarzy i szumowiny miejskie; z łoskotem otwiera się brama i żołnierz pod bronią wpuszcza odstawianych aresztantów.

Zajrzyjmy do wnętrza. Przyszło nas kilku, ażeby w wilię złożyć życzenia świąt naczelnikowi tego biura bezpieczeństwa publicznego, p. Wł. Swolkienowi. Zastajemy go, otoczonego kilku chłopakami od lat 12 do 16, na „gorącym uczynku" nawracania tych młodych łobuzów na lepszą drogę.

Typy prawdziwe nieletnich, bezdomnych włóczęgów. Pierwszy z brzegu 12-letni Stanisław St. wygląda jak „brodiaga". Włosy, nie znające nożyc, przybrały kształt słomianego chochoła. Nie nosi czapki, bo nie ma na zbytkowne części ubrania; zresztą nie strzyżona czupryna stanowi najlepsze i najbardziej hygieniczne pokrycie głowy. Jeszcze dzisiejszej nocy chodził boso bez szkody dla zdrowia. Skóra mu na nogach tak zgrubiała, że jak utrzymuje, zimna nie odczuwa.

P. naczelnik chce odesłać chłopaków do kaźni, Prosimy o pozostawienie ich na chwilę, aby poznać bliżej małych nędzarzy.

— Pozbierano ich dzisiaj w nocy — objaśnia. — Tego St. znaleziono w pace na Stradomiu...

— Jakto w pace?

— Nie ma na noclegi, więc wyszukał sobie pakę na popiół w domu L. 2 na Stradomiu. Sypia ciepło, bo na ciepłym popiele. Patrz pan, jeszcze ma ubranie zasypane.

W istocie „ubranie" wypełnione popiołem w każdej szczelinie. Między strzępami tych szczelin dużo...

— Czy można z nimi — pytam — zrobić interwiew?

— Owszem. Ja coraz częściej słyszę ich rozmowy, coraz częściej otwierają się przed takimi wyrostkami drzwi aresztów. To rzecz nowa — a prędko idzie...

Po kolei słuchamy opowiadanych przez aresztowane dzieci dramatów życiowych, dramatów „na dnie".

Bosy 13-letni Władysław R. sprzedaje gazety. Zarabia dziennie 20—40 h.; z tego dziesięć płaci za nocleg; sypia „u Szymka" na Grzegórzkach; niema ani ojca, ani matki. Chciał iść do terminu, ale go nikt nie chciał przyjąć.

— Co mam robić? — powiada — i gazet nawet nie wolno sprzedawać; tylko łapią i zamykają.

12-letni Wincenty K. handluje zapałkami. Zarabia dziennie około 40 hal.; mieszka u ojca cieśli

w Krowodrzy, ale ojciec niema teraz roboty. Dzieci jest kilkoro; więc każde z nich musi od najwcześniejszych lat myśleć o sobie, a nawet coś przynieść, gdy w zimowej porze nie ma w domu ani grosza.

Władysław Sm. liczy lat 16; ubrany dosyć przyzwoicie, wyróżnia się korzystnie z całej grupy. Ma wprawdzie rodziców, ale ci nie żyją ze sobą; żadne też z nich nie chce się chłopcem opiekować, ani go trzymać przy sobie. Skończył 3 klasy normalne.

— Cóż Władku robisz?

— Stoję na kolei cały dzień i kuferki odnoszę.

— Dużo dziennie zarabiasz?

— Jak się zdarzy, to 40 albo 60 halerzy, czasem więcej.

— I wyżyjesz z tego?

— Ciężko, ale wyżyję. Nie piję, nie palę, tom sobie uskładał na buty i ubranie parę koron.

— Tamci piją?

— Jak mają za co, to piją...

— Nieprawda panie, niech pan nie słucha — odzywa się chór chłopców — ale przeczenie ich nie ma siły przekonania.

Julian Śr., lat 14; ma tylko matkę, pracującą w fabryce tutek i zarabiającą, jak chłopak twierdzi, 30—36 halerzy dziennie. Nie chciała puścić dziecka na poniewierkę, więc oddała syna do terminu u ślusarza. — Po dwóch tygodniach przyszła umówić się na stałe z majstrem. Usłyszała, że musi zapłacić 400 kor. gotówką, jeżeli chce mieć chłopca czeladnikiem ślusarskim. Z tą chwilą skończyła się dla Julka nauka ślusarska.

Czternastoletni Józef K. pomaga ojcu, robotnikowi na kolei. Szczególny zawód wybrał sobie również 14-letni Jędrzej Ł. Utknął w dzielnicy najniebezpieczniejszej dla małoletnich, na Kazimierzu, gdzie szynków najwięcej i gdzie gnieździ się najwięcej upadłych nędzarzy. Pełni obowiązki roznosiciela nafty jednego z większych składów. Otrzymuje wynagrodzenie 4 hal. od każdej odniesionej „bańki“.

— Ileż nafty jest w takiej bańce?

— Różnie. Czasem i 15 kilogramów.

— Dużo przez dzień zarobisz?

— Jak dobrze idzie, to 50 hal., a najwięcej 60 hal. Ale się trzeba narobić i nachodzić. Czasem nie odrazu dostanę pieniądze zarobione, a na chleb nie mam...

Wreszcie znajomy już Stanisław St. Chodzi on za wozami, rozwożącymi węgiel. — Zabiera ukradkiem spadające z wozów okruchy; potem je sprzedaje biedakom po 4 lub 6 hal. Zarabia dziennie najwyżej 40 h., więc mu już na nocleg nie starczy. Brat starszy wypędził go z domu, żeby na siebie pracował.

* * *

Przed nami stoi ta grupa dzieci, wydziedziczonych, wiedzących co głód i nędza i zimno i poniewierka i co życie bez jutra i co chłód ludzki.

— Może p. radca wypuści ich na wilię... Chcecie chłopcy iść; przecież to dziś wilia!

— Wilia!

Słowo dla nich bez dźwięku.

— Proszę pana — wysuwa się cokolwiek i za wszystkich mówi Stanisław St. — my tu już wolimy przez święta zostać. Ani gazet przez trzy dni nie można sprzedawać, — ani zapałek, ani rzeczy z kolei odnosić. To co my zrobimy...

— Ja przecie pójdę do domu—odzywa się Wincenty K. — u nas będą kolędy i wilia.

— Ja pójdę do matki — łączy się z nim Śr — Matkaby się o mnie martwiła.

— My nie pójdziemy — wołają inni.

Niema co na to odpowiedzieć. Naprawdę lepsza dla nich wilia pod Telegrafem, aniżeli przepędzenie o głodzie mroźnej nocy w skrzyni popiołu!

Niechże ta wilia będzie im nawet w tych murach przyjemniejszą. Robimy małą składkę i pytamy:

— Co chcecie chłopcy na wilię?

— Po śledziu, ale dużym, białego chleba i gorącej herbaty.

— Dobrze, będziecie mieć.

Radość zabłysła w ich oczach.

— Będziecie wieczór kolędować?

— Nie umiemy... Słyszeliśmy, jak kolędują, ale nas nikt nie uczył.

— Ja umiem, ale idę do domu — dodaje Śr.

Za chwilę zamknęły się za chłopcami drzwi kaźni.

Inaczej opuszczeni chłopcy obchodzą wilię w Pawlikowicach i Miejscu Piastowem. Czyja wina, że tylko jedno Miejsce Piastowe, drugie Pawlikowice w kraju; że zaniedbane dzieci wilię obchodzić wolą pod Telegrafem, że ich tam coraz więcej?

„Czas“ z d. 23. grudnia 1905.

Seciny dzieci opuszczonych i ubogich obojga płci, wychowujących się w Zakładach w Miejscu Piastowem, pożarem 3. lipca 1904 r. jeszcze bardziej zubożone, upraszają pokornie Szlachetnych Czytelników niniejszego pisemka o wsparcie w naturze lub pieniądzach, gdyż brak im bielizny, pościeli, a nawet dostatecznego pokarmu a zima nadeszła.

OGŁOSZENIA.

Nakładem Towarzystwa „Powściągliwość i Praca“ w Miejscu Piastowem. — Za redakcyę odpowiedzialny Wojciech Lenik.

Drukiem W. Lenika w Krośnie.